

Cena numeru 10 zł

ROZCI BIJACO TYDZIEŃ

Rok 1

29 Wrzesień 1948

Nr 8

Churchill projektuje przy kierowniczej roli Niemiec —



rys. HENRYK TOMASZEWSKI

Stany Zjednoczone Europy

(Il Travaso)



- To? To zostało po poprzednim właścicielu mieszkania

(Le Paysage)



- Mogę prosić ognia?

(Le Rire)



- Trzeba dziś mieć miliardy, aby być milionerem

(Le Rire)



- Dlaczegoś ty taka dumna?
- Mój ojciec poległ na Bikini!



Rys. Regina Kańska

- Znowu zapomnieliśmy k uczę od mieszkań!

Obywatel Różga ma głos



Obywatel Czyżyk, metalowiec z rodziną, ma sporo familiantów w kraju i zagranicą. Właśnie ostatnio przyjechał do niego pociotek z Anglii.

- Tak i tak — powiada — wuj najukochańszy, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Zresztą szkoci oko mi kamieniem podbił, bo lubią Polaków jak zadrę... w pewnym miejscu.

Czyżyk ogromnie ucieszył się z przyjazdu pociotka i od razu zauważył, że trzeba chłopakowi pokazać Łódź, miasto rodzinne.

- Zobaczysz — oświadczył — jaka kultura u nas: na kwiatek się niedziela w niedzielę zbiera i podatek od chodzenia płaci.

Podatku nie zapłaciliśmy, bo Czyżyk miarkował, aby przechodzić według winkła, ale znaczek daliśmy sobie przypiąć, bo inaczej nie da się w święto bezkarnie spacerować po mieście.

Pociotkowi Łódź się bardzo podobala.

- No, wie wujo — rzekł ze wzruszeniem — domy stoją jak przed wojną. Całe, niezniszczone.

Alé Czyżyk to zawsze lubi każdemu przygadać.

- Cóż z tego, że całe — warknął — kiedy przepelnione. Szpliki, kochany, nie ma gdzie wetknąć: tak w nich gęsto.

Właśnie pod ten czas przechodziliśmy koło pięknego pałacu.

- Pamiętam! — krzyknął pociotek. — To tego burżuja Poznańskiego. Napewno stoi pustką.

Zamiast odpowiedzi wskazałem pociotkowi tabliczkę: „Konservatorium Muzyczne“.

- Fiu, fiu — gwizdnął przez zęby krewny Czyżyka. — Hm, to ciekawe.

Nie bardzo rozumieliśmy, o co mu chodzi, dziwak chyba jakiś się z niego przez wojnę zrobił, bo ledwie minimy który z łódzkich pałaców i zaznaczymy, że zajęte to na przedszkole, to na świetlicę, to na żłobek dla dzieci — on zaraz swoje fiu, fiu i w ogóle wydziwiał.

- E, do licha — zirytował się Czyżyk — cóż to pociotek uważasz, że tylko Pałac wart pałaca, a Konservatorium lub dzieci nasze — nie?

Pociotek zmieszał się na te słowa.

- Ja nie dlatego — bąknął — tylko, widzi wujo: co kraj, to obyczaj. W Anglii naprzykład sprawa z pałacami zupełnie inna. Więcej ich tam jest niż w Łodzi, ale wszystkie puste. Właściciele nawet w nich nie mieszkają.

- Jakto nie mieszkają? — zdziwiliśmy się obaj z Czyżykiem.

- Ano, fantazja u nich taka: pałace, posiadają, mamy, a mieszkać w nich nie będziemy i nikomu nie damy. Cholerna to fantazja, bo bezdomnych w Anglii do licha i trochę.

- To — wtrąciłem oburzony — napuścić na nich Komisję Mieszkańciovą!

Alé tu trzeba było udzielić wyjaśnień pociotkowi, bo nie wiedział co to za urząd.

- Nie — zaznaczył — takich urzędów w Anglii nie ma. Biedni squatterzy musieli sami sobie poradzić. No, bo cóż lepszego mogli zrobić? Powłazili z rodzinami do pustych pałaców i już.

- Brawo bis! — krzyknęliśmy z Czyżykiem. — Dobrze zrobili: luksusowe mieszkania teraz mają!

Alé pociotek nie podzielił naszej uciechy.

- Luksusowe mieszkania? — powiedział. — Akurat. Angielski minister zdrowia, Bevan, znalazł zaraz, że to niezdrowo, aby bezdomni korzystali z wygod pałacowych i kazał im odciąć dostawę światła, gazu i wody...

Chciałem powiedzieć, że ten Bevan to trochę dziwny minister zdrowia, ale przerwał mi Czyżyk, mówiąc ze śmiechem:

- O, Anglicy lubią odcinać od wody. Nie tylko bezdomnych w Londynie, lecz i np. nas wszystkich w Polsce: od Bałtyku, Odry i Nisy. Aa, ale my dostępu do tej „wody“ będziemy bronili trochę lepiej, niż londyńscy squatterzy...



Rys. Karol Baraniecki

KRYSZYNA BOERGER

Dzieci i



niewinność

— Dziecko jest uśmiechem i radością życia. — Zgoda, tylko nie w pociągu. Tu dzieci stają się karą bożą i to zarówno dla rodziców, jak i współpasażerów.

— Pawelku, ty pewnie już jesteś głodny? — pyta troskliwa mamusia. — Jedziemy już trzy godziny, a on jeszcze nie jadł — zwraca się do współtowarzyszy podróży. I wyciąga z ezeluści torby jakieś bardzo sfatygowane tortowe ciastko.



— Ja nie ce ciastka. — oponuje Pawelek. Ja ce bułkę...

— Kiedy, skarbie, mamusia nie ma bułeczki! Zjedz ciasteczko...

— Niee...

Matka poczyna siłą pakować malcowi ciastko do ust. On ryczy i zaciska usta. W rezultacie ciastko pozostaje na buzi i rączkach malca, a z kolei na ubraniu reszty pasażerów, no bo przecież taki tłok i ścisk...

Pięcioletnia Manusia nie grymasi. Zajada śliwki, wypływając z rozbijającą swobodą pestki i skórkę... prosto na swoje vis a vis.

Z drugiego końca przedziału odzywa się nagle żalostny pisk: „tatusiu, ja muszę kupkę...”

Biedny ojciec, wykonując karkołomne sztuki w postaci przeskoków poprzez spiętrzone toboły i pakunki oraz usiłując wężowo przesłizgnąć się pomiędzy stłoczonymi bliźnimi — napróżno stara się dotrzeć do pewnego zacisznego miejsca. Wszystko nadaremno!

— Państwo przepuście — prosi płaczliwie. Dziecko musi...

— Panie, my nie mamy gdzie się posunąć. Z duszy, serca byśmy chcieli, ale gdzie? Sam pan widzi... Zresztą tam podobno cztery osoby się ulokowały i nie wyjdą, bo też nie mają gdzie...

— Może małego wysadzić przez okno? — doradza ktoś pełen inicyjatywy.

— Kupkę! — szlocha malec.

Zdeterminowany ojciec, nie wiele się namyślając — zdejmując z półki małe zawiniątko. Rozwija ni to obrusik, ni to ściereczkę, z której wynurza się... naczynie z uszkiem.

— Siadaj, synku — powiada, umieszczając naczynie na jakiejś walfce.

Cały przedział zachłystuje się oburzeniem:

— Coś takiego! Zeby z przedziału kolejowego klozet robić!

— Pan chyba nie masz sumienia narażać ludzi na takie rzeczy — gorszy się jakiś poetyczny, młody człowiek, który właśnie szeptał swej towarzysze czułe strofy z Tuwima.

Ala biedny tatuś, na którego głowę sypał się stos obelg, zniósł ze stoickim spokojem ten krzyż swego ojcostwa i nie tracił zimnej krwi (synek przecież z mocną zadowoloną miną odbywał w skupieniu swą nocniczkową siestę...).

— Przecież pan też byłeś dzieckiem — zwrócił się wreszcie do poetycznego młodzieńca.

Kilka osób zachichotało. Tuląc się do młodzieńca panienska spionęła krwawym rumieńcem i trzeszczkę, o ile tylko tłok na to pozwalał — odsunęła się od swego wielbiciela.

— Ordynus grubeskórny — syknął młodzieńiec...

Pociąg mknął dalej. Robiło się coraz ciemniej. Pomęczona dzieciaki usnęły na kolanach rodziców. Słychać było tylko chrapanie, czasem szurgnęła czyjaś noga, szukając bezwiednie wygodniejszej pozycji. Napróżno. Pozycji niesposób było zmienić.

Tylko poetyczny młody człowiek ciągle szeptał z panią swego serca.

Nagle, gdy pociąg dojeżdżał do jakiejś większej stacji, wstał i powiedział, że musi się napić lemoniady. Taki tu żar i zaduch w tym przedziale, w tym tak niekulturalnym towarzystwie... Z tymi strasznymi bachoramii!



Pociąg ruszył, a on nie wrócił. Nikt się nie martwił, że przybyło nieco luzu... za wyjątkiem skromnej panienci, która tak rumieniła się na widok nocnika. Ta bowiem podniosła straszliwy rwetes. Okradziono ją! Pięć tysięcy złotych zabrał jej ten opryszek, bandyta, łobuz!

Obudzeni pasażerowie zaczęli pytać, badać, współczuć.

— Skąd pani ukradł te pieniądze?

— A z pończochy — szlocha skrzywdzona niewinność. Miałam je w pończosze, o tu, wysoko...

W przedziale, którego pasażerowie niejedno przecież przeżyli i niejedno widzieli, zapanowała konsternacja.

Zameldowanie w Milicji nie zostało, podobno, złożone. Starsze i stateczniejsze pasażerki odradziły bowiem paniencie nadawanie rozgłosu tej sprawie. Czy warto dla pięciu tysięcy złotych szargać sobie opinię, ten skarb słabej kobiety?

STANISŁAW SOJECKI

Na swojską nutę

O przyjaciele, o bracia w satyrze,
Przeście chwile skrobać po papierze
I, jeśli waszej to dogadza wola,
Podajcie ucho na to, co mnie boli.

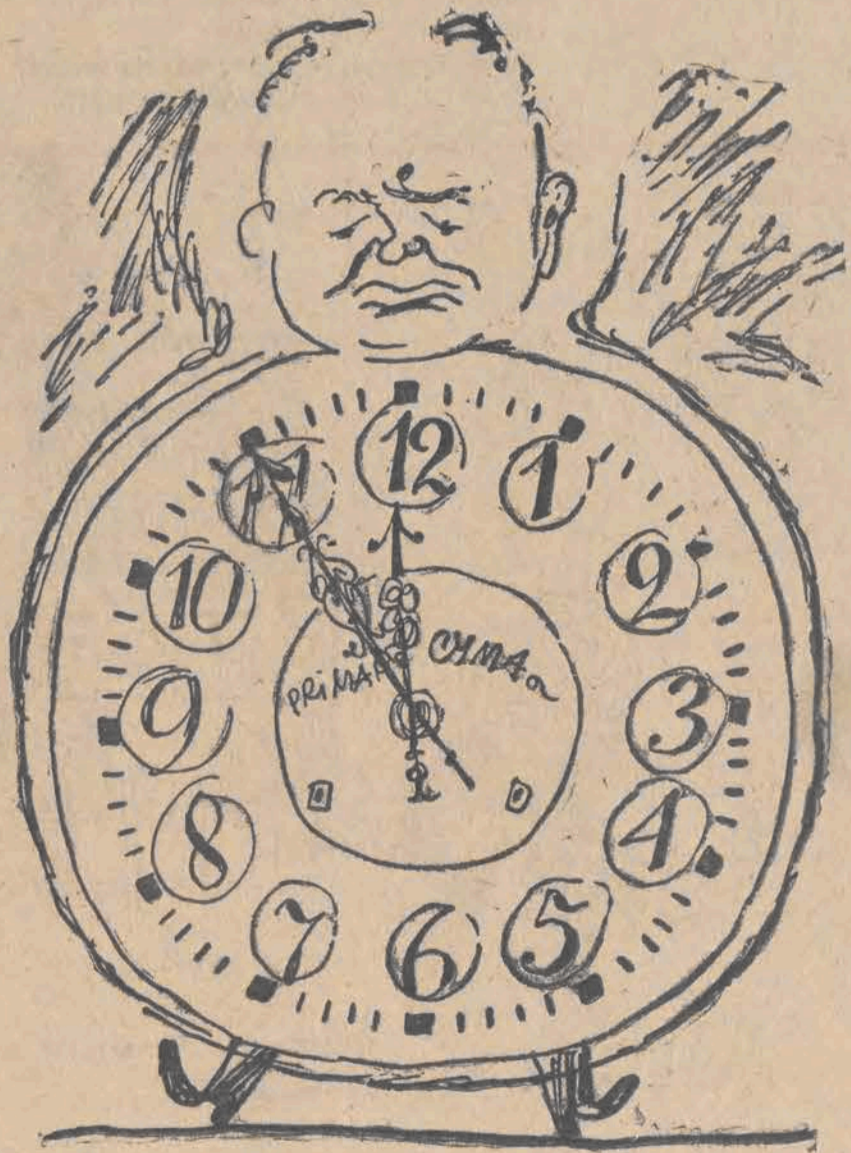
Jak się to dzieje, o wnukowie Beya,
Ze dziś, gdy pióro złapie kaznodzieja,
Przyćnąć nie umie (bo nie wątpię, że chce)
I jeno zlekka (co najwyżej) lechce.
I zamiast targać — po wierchu się ślizga,
Miał wyznaczyć mora, głupio się umizga;
A już porządnie ugryść nie potrafił
Ow wieszcz narodu — na miarę parafii.

Czasem się komuś złota myśl uroi,
Ze cnota, panie, krytyk się nie boi —
I pełen werwy ima się patyka,
By się przejechać hurtem po święcznikach —
Kropi w ministra — czytelnik się tuzi,
Ze w dostojnikach wreszcie ujrzy ludzi —
Tymczasem wierszyk duka anemiczny,
Ze to minister, ale zagraniczny.

Szukacie wątku po wertepach globu,
Gonicie dowcip po półkulach obu,
By na swój język ochlap złapać lichy
I tym w narodzie wzbudzić śmiechy chichy!
A czy w ojczyźnie naszej, proszę panów,
Niema pod ręką własnych mężów stanu?
Rodzinną nutą nakręćcie kurancik
O niepoprawni, wieczni emigranci!

Naród to lubi. Naród tego chciałby!
Bo śmiać się woli, niżli brać się za lby!

Po przemówieniu Churchilla w Szwajcarii,
ojczyźnie zegarków



Rys. Henryk Tomaszewski

Złe wyregulowany budzik



(Le Rire)



Rys. Jan Lenica



(Le Rire)

— A mówiłem ci, żebyś nie używała tyle tego płynu do opalania!

Kontroler: — Z ilu pokoi składa się mieszkanie?
— Tylko z siedmiu!
— A ile osób w nich mieszka?
— Aż trzy!

— Psiakość, Bill... Pomyliłem cele i rzuciłem bombę atomową na obserwatorów!

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Trzecia wojna

Są pewni ludzie, którzy zamiast żyć sobie bogobojnie,
Pracować pilnie i uczciwie —
Marzą o trzeciej wojnie.

I taki facet, lub facetka,
Natura niespokojna,
Myśli, że szczęście i dostatki
Przyniesie trzecia wojna.

Nie da przekonać się nikomu
I nie da dojść do słowa,
Gdy zacznie głądzić, jak zbawienna
Jest bomba atomowa!

A mimochodem wspomni o tym,
Ze właśnie trzecia wojna,
To będzie dla facetów sprytnych
Po prostu krowa dojna!

I cieszy się na myśl o wojnie,
Zaciera brudne łapy,
I pyta wciąż, czy Konferencja
Już nie zrobiła kłapy?...

Z ust do ust krąży czarna plotka,
Nerwowa, niespokojna:
— Wybuchnie wnet, czy nie wybuchnie?
Ach, kiedyż trzecia wojna?

Obywatelu! Nic dobrego
Po wojnie tej nie rokuje!
Gdy słyszysz: — Kiedy trzecia wojna?
Mów: — Kiedy PIERWSZY POKÓJ?...

mi zadaje, na co ma świadka, niby mnie i na dobitkę, niby Jagusia, codziennie z kim innym!...

— Dosyć. Napiszesz za karę 10 razy: „Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka“.

— Napiszę, panie profesorze!

— Środa? —

— Środa? W środę, panie profesorze... w środę u nas był pożar!

— Co?

— Pożar! Przyszła w odwiedziny kuzynka mamusi, to tatuś uje poszedł do biura i mamusia zaraz jak kuzynka odeszła, to na tatusia: Co ty się tak do niej palisz?!

— Przestań! Napiszesz 10 razy: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“.

— Dobrze, panie profesorze!

— Czwartek?!

— Z powodu tyfusu, panie profesorze.

— Tyfus? Odsuń się o kilka kroków i gadaj, co z tym tyfusem?

— A nic, tylko przyszła mama mojej mamy i tatuś zamknął się w swoim pokoju i mnie tylko posyłał od czasu do czasu do mamusi, żebym się spytała, kiedy sobie nareszcie ten tyfus pójdzie do domu!...

— Przestań. Za karę 10 razy: „Walka z epidemiami to obowiązek społeczny“.

— Dobrze, panie profesorze!

— Piątek?

— Piątek? Piątek, panie profesorze... to ja musiałam stanąć w obronie honoru mojej mamusi!...

— To coś nowego...

— Nic nowego, panie profesorze... Tylko pan Alfred, co do nas często przychodzi jak tatusia nie ma w domu, przysłał mamusi sukienkę z bilecikami — to mamusia tak strasznie się oburzyła...

— Wyobrażam sobie!

— ...Strasznie się oburzyła: Co on sobie myśli, powiada, że ja taki łach włożę na siebie? Po 1.000 zł. metr? Sknera! On mnie obraził! Odniesz mu to zaraz i powiedz mu...

— Dosyć! To nie powód! 10 razy: „Nie suknią podnosi człowieka, ale człowiek suknię!“

— Dobrze, panie profesorze!

— Sobota?

— E — w sobotę to ja miałam spotkanie!

— Co?! Z kim?!

— Z synem pana profesora!

— Skandal! Napiszesz... napiszesz 20 razy...

— Wiem, co napiszę: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni“.

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

TYDZIEŃ PENSJONARKI

Z miną, nie wróżącą nic dobrego, zapytał profesor uczennicy:

— Dlaczego nie byłaś przez cały tydzień w szkole?

— To się nie da w dwóch słowach opowiedzieć, panie profesorze.

— Zatem — pokolei: dlaczego nie byłaś w poniedziałek?

— Bo do mojej siostry przyjechał narzeczony...

— To nie powód. Nie do ciebie przyjechał!...

— Tak, ale oni siedzieli sami w pokoju i mama kazała mi patrzeć przez dziurkę od klucza...

— Dosyć! Za karę napiszesz 10 razy: „Kruk krukowi oka nie wykole“.

— Dobrze, panie profesorze...

— Dlaczego nie byłaś we wtorek?

— We wtorek?... A, bo we wtorek mama miała awanturę z pomocnicą domową!...

— To nie przyczyna, żebyś musiała zostać w domu.

— Owszem, panie profesorze, ja byłam za świadka.

— Jakiego świadka?

— No bo mama skazywała Jagusię, że się zanadto z chłopaka-



Rys. Narcyz

„Lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu“.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Ballada o księżycu nędzarzy

Był sobie wielki biedak John,
I tacy bowiem w Anglii są,
Ze bardzo często nie miał chleba,
Ukradł więc John nasz księżyc z nieba.
Ze ludzie z głodu są szaleni,
John schował księżyc do kieszeni,
Bo potraktował księżyc o to,
Jako monetę złotą.

Wybacz mi, lordzie, który kładziesz
Do kasy forszę, drobną kradzież,
Bo czasem ukradść księżyc trzeba,
Kiedy się nie ma chleba.
Ukradł więc księżyc biedny John,
Bo nie miał chleba on.

Staną z księżycem przed piekarnią,
Może za księżyc go nakarmią?
Lecz piekarz nie chciał dać mu chleba
Za księżyc z nieba.

Wchodzi do baru. Księżyc kładzie
Na poplamionej winem ładzie.
Prosi o wódkę, o przekąskę:
„Piace księżycem! Podać gaskę!” —
Powlada bardzo głodny John,
Lecz rzekł doń szynkarz słowo mocne,
Czyli inaczej: „Paszoł won!”
Zdejm z lady to naczynie nocne!
To księżyc, a nie żaden funt,
Księżyc to nic, a funt to grunt!”
Kres tej ballady bardzo smutny,
Zaraz wybrzdąkam go na lutni!

Do Scotland Yardu skargi płyną,
Ze księżyc nad Tamizą zginął,
Ze noc londyńska — (to nie kpinka)
Znacznie czarniejsza, niż Murzynka,
Ze piękna lady bladolica
Nie może wdychać do księżycy
Poeci stracą honorarium,
Bo kiedy księżyc już nie świecił,
Odbiera Muza boski dar im
I już nie piszą nic poeci.

Prócz tego sprzyja znakomicie
Wywrotowcowi i bandycie
Księżyc londyńskiego brak —
I przyznał Scotland Yard: „To fakt!”...

Schwytali Johna policmani
I siedział biedny John w więzieniu.
Za kradzież Johna mocno zbili
I księżyc w niebo znów puścili
I wszystko znów w porządku: świecili!

A biedny John w więzieniu siedzi,
I myśli sobie John w więzieniu:
„Kradzież księżycy nic nie zmieni,
Bo trzeba iść po własne szczęście
Do lordów z zaciśniętą pięścią!”.

Freudowskie wychowanie

Mr. Stocking, były majster szewski, obecnie właściciel sklepu obuwniczo-standartowego przy Second Avenue — należał do rzędu „ludzi postępowych”. Był członkiem rzeczywistym Towarzystwa Teozoficznego, uczęszczał na wykłady o „Hygienie małżeństwa”, czytał od deski do deski liberalną „New York Tribune”. Słowem: na gwałt uzupełniał swą zaniedbaną nieco (za młodych lat) edukację.

Dwie dorodne córki wydał szczęśliwie zamąż — w domu rósł i rozwijał się ku uciechu ambitnego rodzica dziesięcioletni synalek, piegowaty Bobby.

Pewnego pięknego poranka mr. Stocking, palaszując „ham and eggs”, wyczytał na łamach swego ulubionego dziennika sensacyjną wiadomość, że w samym ośrodku dzielnicy Manhattan otworzył swe podwoje instytut pedagogiczny, zajmujący się wychowaniem podrastającej młodzieży zapomocą nowych patentowanych metod i środków.

Mr. Stocking medytował naiwnie: jeśli but, przedmiot bądź co bądź martwy, potrzebuje wprawnej ręki szewskiej, któraby przykroiła cholewę, nabiła kołki, przytwierdziła podeszwę, obcas i wetchnęła weń skrzypiącą duszę — tym bardziej dziecko, stworzenie żywe, nie obejdzie się bez rutynowanego rzemieślnika, któryby wykierował je na ludzi.

Po krótkim namyśle ujawniwszy swą latorośl za ociągającą się rączką, znalazł się nasz mister w przedpokju dyrektora reklamowanego instytutu. Na drzwiach widniała tabliczka z napisem następującej treści:

„Poradnia dla ekspertyzy duszy dziecięcej. Specjalność: śledzenie sił i przemian psychicznych, drzemających u przyproża dziecięcej podświadomości...”

Mr. Stocking zdjął okulary i wytarł chustką spótniałe czoło. Nie wiele rozumiał z tego hieroglifowego tekstu. Zdobywszy się jednak na odwagę, zapukał do drzwi gabinetu.

Przyjął go szpakowaty, gładko ogolony jegomość — o krótkowzrocznych wnikliwych oczkach.

— Czego pan sobie życzy?
— Przyszedłem do was, panie profesorze, bowiem słyszałem, że macie warsztat... to jest zakład, przerabiający dzieci na wartościowych ludzi. Więc przyprowadziłem wam synalka mego, byście

go wzięli na kopyto... to jest na naukę i zrobili zeń człowieka.

— Czy dziecko ma defekty?
— Jak to defekty?
— Mam na myśli wady fizyczne lub duchowe.

— Aha, kalectwo?
— Może być anomalia, melancholia, „idée fixe”...

— Broń Boże, panie profesorze, dziecko zdrowe.

— Nie chorowało poważnie?

— Nigdy...
— Robiliście psychoanalizę?

— Owszem. Parę miesięcy temu felczer domowy zrobił mu analizę.

— Z jakim wynikiem?

— Niczego nie znalazł.

— Absolutnie niczego?

— Nie.

— To niedobrze. Jeśli niczego nie znalazł, znaczy: coś pozostało w ukryciu. A podświadomość u dziecka w porządku?

— W najzupełniejszym. Regularnie raz, czasem dwa razy na dobę. Tylko od czasu do czasu dajemy mu środek przeczyszczający.

— A jego dynamika statyczna?

— Nie wiem, nie próbowałem.

— Więc wracajcie do domu i wypróbujcie. Ustalcie.

— W jaki sposób ustalić, panie profesorze?

— Ustalić można za pomocą snów, na podstawie teorii prof. Freuda. Albo jeszcze lepiej, badając jego upodobania i zabawy.

— Zabawy?!

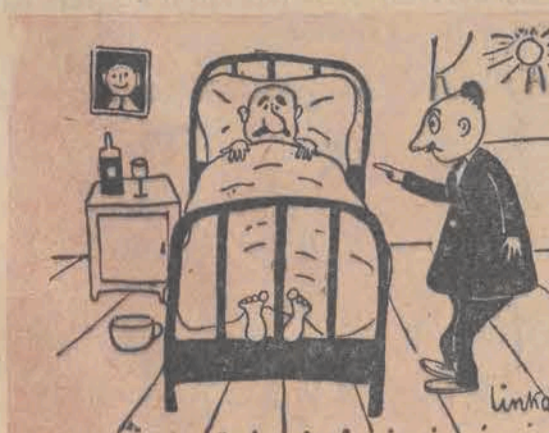
— Tak jest, posiłkując się tą metodą można odkryć ukryte w nim podświadome skłonności... Dla przykładu: Jeśli dziecko bawi się w konia, to znaczy, że wyrośnie zeń przywódca demokratyczny, leader. Dziecko wywracające ko-

ły, predystynowane jest na artystę filmowego. Jeśli papla bez związku, jestem pewny, że rozwinie się na mówcę światowej sławy. Jeśli ma zamiłowanie do kłamstwa, będzie zeń muirowany polityk, dyplomata, literat, reporter. Jeśli lubi uganiać się, będzie wybrańcem narodu, to jest posłem do parlamentu... Tępa główka jest niewątpliwie zapowiedzią przyszłego doktora filozofii...

— Jeśli będziecie postępować ściśle według moich wskazówek, bądźcie pewni, że syn wasz w przeciągu krótkiego czasu będzie wzorowym uczniem naszego naukowo-wychowawczego instytutu.

Z angielskiego tłum.

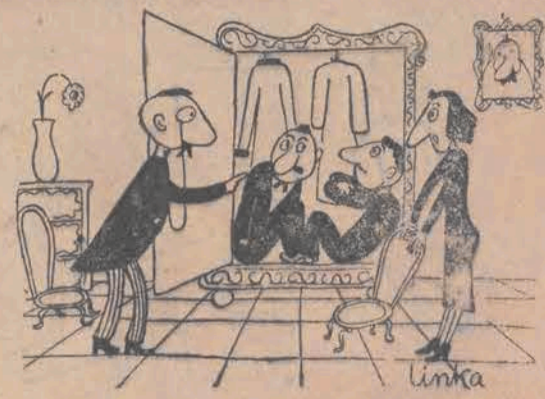
HORACY SAFRIN



Rys. Jan Linka



Rys. Jan Linka



Rys. Jan Linka

— Dlaczego zawsze śpisz w dzień?

— Oszczędzam w ten sposób nocną koszulę

— Dlaczego wisi ten napis?

— No, bo w murze niema drzwi i ludzie by sobie głowy rozbijali

— Co to ma znaczyć hrabino?

— Ach, głupstwo, baronie! tych panów przydzieliła mi Komisja Mieszkanio wa



(Le Paysage)

— Tak, to z tektury, ale tektury przedwojennej!



Rys. Masek Kononowicz

— Chodzi więc panu o rękę mej córki?
— Nietylko o rękę, panie prezesie, nietylko o rękę...



(Le Riel)

— Jakto, z biletem trzeciej klasy jedzie pan pierwszą?
— Przepraszam, myślałem że to druga!

HORACY SAFRIN

Mr. Allright

Nasz bohater, że tak rzekę,
miał nabiją grubo tekę,
marynarkę jasną w kratki,
okulary, przedział gładki —
i zastygły, jak u maski,
wdzięczny uśmiech anglosaski.
Lubił girlsy, lubił whisky,
no, i „money” przede wszystkim.

Edukację swą poprostu
czerpał Allright z „Morning-Postu”:
przeglądając treść numerów
wpierw studiował kurs papierów,
potem widział jak na dioni,
że Europa we krwi tonie —
więc odkładał „Morning-Post” i...
uśmiechnięty zjadał „toasty”.

Gdy po frontach, krematoriach
zaświtała nam wiktoria,
szczerze rad był Allright biały,
„gentelmanlike”, bez przesady.
Wiały flagi, transparenty...
On zaś kroczył uśmiechnięty:
bo zasłużył się ojczyźnie
gieldowymi swymi „businnes”.

Potem Mister nasz spokojny
zgarbił plon zwycięskiej wojny.
Choć łowiono w mętnej wodzie,
choć walczone gdzieś na Wschodzie,
choć niepokój światem targał:
uśmiech trwał na jego wargach.
Uśmiech mówił: — I am happy!
Im jest gorzej, tym jest lepiej... — —

Trwała ta sielanka, póty
nie nastąpił dzień „derouty”:
Zadrzał New York, London City,
akcje spadły na łeb zbity. —
Tego pamiętnego wtorku
cud wydarzył się w New Yorku:
Z wykrzywionych ust Allright'a
padło jedno słowo: „Plajtaj!”

Odkrywamy nowe talenty

OD REDAKCJI.

Jak wiadomo, współczesna literatura satyryczna w Polsce opiera się na niewielkiej grupce ludzi, którzy stanowią zamknięty klan, kapliczkę, towarzystwo wzajemnej adoracji, sezam, paczkę, siwkę i t. d.

Nowych nazwisk nie widać, choć piszących w Polsce jest bardzo dużo. Nie jest demokratycznie zbywać owych licznych autorów, którzy nie mają wpływów, protekcji, dostępu i znajomości — bezlitosnym „nie skorzysta-

my”, „nie nadaje się”, „grafomania” i t. p.

Pismo nasze postanowiło walczyć z tym ohydny zwyczajem (będącym smutną pozostałością czasów sanacyjnych), wprowadzając kącik p. t. Odkrywamy nowe talenty”. Tym razem dajemy wybór cenniejszych wierszyków, nadsyłanych nam codziennie i w b. obfitej ilości przez satyryka, który obiera sobie kolejno pseudonimy: „Homunculus”, „Zero”, „Gąska” względnie monogram — „M.C.”

CO JA CIERPIĘ

Co ja cierpię, co ja znoszę,
Przez noc całą, przez dzień cały;
Aktualny wierszyk mały —
Miał na papier — wpadł do... kosza.

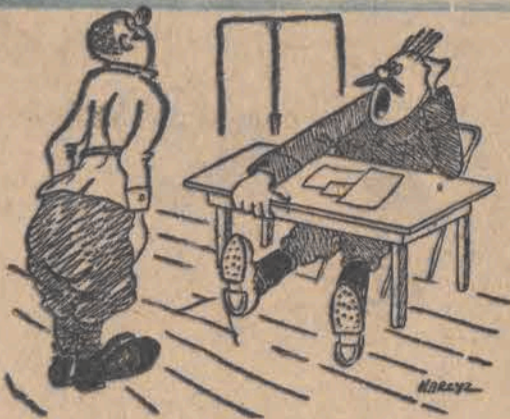
SZTUKA NIESAMOWITA

Jeśli wiersz się nagle zjawia,
I z Twojej głowy ujścia szuka,
Tylko we śnie, nie na jawie —
To niesamowita sztuka!

CO TO JEST „TALENT?”

„Niech Redaktor mi odpowie,
Co to „talent” w cudzym świecie?
„To, co na koszowym łonie
Pływa, pływa, lecz... nie tonie!”

Zaznaczyć należy, że obywatel tygodnika „Dziś i Jutro”. Jak wiadomo, tygodnik ten ma bardzo surowe wymagania jeśli chodzi o poziom satyry i dowcipu.



Rys. Narczyk

— Proszę o urlop, ob. sierżancie.
Umarła mi teściowa.
— Chcecie jechać na pogrzeb?
— Nie, oblać tę wiadomość.



(Le Paysage)

— Skradziono panu kiedy ubranie w kąpiel?
— Nie, nigdy.
— Mnie też nie.



Rys. Narczyk

W WARSZAWIE

— Czy mi się zdaje, że państwu włączyli już gaz?

Z prasy:

Wyrok w procesie norymberskim i miejsce wykonania wyroku będzie okryte tajemnicą



Rys. Henryk Tomaszewski

- Jak myślisz Hess: powiesz nas - czy nie powiesz?
- Tak czy owak - my nic o tym nie będziemy wiedzieli

IAN CZARNY

Sztuczna szczęka

Feliks Falda był krawcem. Człowiek spokojny, któremu jednak życie nie oszczędziło pewnej przykrości. Stracił, mianowicie, przy jakiejś niezawinionej przez siebie okazji użębienie górnej szczęki.

Pewnie, że to nieszczęście, ale mogło przecież być gorzej. Mógł stracić jedną z dwu posiadanych nóg i wtedy nie miałby czym biegać po dziesięć razy w te i nazad ze skierowaniami i papierkami do firmy „Fastryga” do Ubezpieczalni, jak to czynił, starając się o sztuczną szczękę.

Wprawdzie nie była ona, jak z początku obiecywali, porcelanowa, tylko kauczukowa... Wprawdzie można było o niej powiedzieć, jak o kołnierzyku, że jest o numer mniejsza i robiona na młodszego brata...

Wprawdzie opadała z trzaskiem na ocalale zęby, gdy w chwilach zdziwienia otwierał usta i szczękała... Niemniej jednak była i Falda, leżąc wieczorem na tapczanie, z niemałą przyjemnością obejmował jednym okiem swą połowicę, a drugim szklanke, napełnioną wodą, w której moczyła się owa szczęśliwa szczęka. Ale jakoś z końcem lata zdarzyło się nieszczęście. A było to tak:

Odbывał się bankiet ku czci zmarłych członków cechu. Sześć Cąjg mówi do Felka:

— Będziesz razem ze mną i-mę „Fastryga” reprezentował. Wia-

domo, prywatna iniejącywa... Godnie w naszych osobach itd. Sztuczne użębienie masz, mordę możliwą też, ubierzysz ten garnitur, co to go tak długo nie wykupują...

Felek ogolił swoją możliwą mordę, szczękę wypucował na glanc, nałożył garnitur (co to go tak długo nie wykupują) i udał się razem z szefem reprezentować godnie. To było 26 lipca Roku Pańskiego. Data pamiętna, bo w dniu tym przepadła szczęka, która była dumą i osłodą życia Feliksa Faldy. Przepadła, jak rzucona w wodę, chociaż Falda nie przypomniał, chociaż aby owego fatalnego wieczoru rzucał ją do szklanki z wodą, stojącej na nocnym stoliku, jak zwykł czynić co wieczór. I nie ma w tym nic dziwnego, bo przywieziono go z bankietu dopiero nad ranem, pijanego do nieprzytomności z podbitym lewym okiem.

Około południa siedział Falda na swym tapczanie, patrzył markotnie na osamotloną szklanke i myślał intensywnie:

— Najpierw przemawiali przedstawiciele spółdzielni, jako, że im w dzisiejszym ustroju pierwszeństwo przyszługuje. Potem przemawiała iniejącywa prywatna. Wszystkie oracje, a było ich sporo, naturalnie pod śledzika i wódkę. A potem toasty:

— Niech żyją Zmarli Członkowie Cechu! Niech żyje Pracownik Igły i jego udział w odbudowie! I t. d.

Faldzie dobrze się już kurzyło z czupryny, gdy głos zabrał jego szef Cąjg. Przypominając sobie tok wydarzeń, Falda tarł czoło swą wiochata ręką, przypominającą szeczotkę do odkurzenia, ale nadermnie. Pamiętał tylko, że usiłował przemawiać i przeszkadzano mu mocno. Potem zastawiony stół, delegaci i zaproszeni goście zaczęli się dwoić, troić i wirować. Twarz prezesa Szpulki wyglądała, jak portret dadaistyczny, z przesuniętą osią symetrii. Delegat spółdzielni „Wspólny Scieg” wyglądał jak klisza, na której zdjęto takie same dwa portrety. Jego szef Cąjg miał dwie postacie. Raz po raz, jedna z drugiej wychodziła, ale trudno było Faldzie ustalić, która z której. Pamiętał jeszcze, że próbował w chwili ezultacji objąć Cąjga i pocałować, ale trafił na niewłaściwą postać i rękoma objął krzesło. Zakreśliło mu się w głowie i zwałił się z nóg. Potem jego szef Cąjg, który go tak lubił, walczył go ciężką łapą w kark i krzyczał:

— To ty zamiast reprezentować, schlałeś się, jak świnia!

Pamiętał jeszcze, że przykładano mu do czoła i oka różne zimne przedmioty, jak talerze, marmurowe przyciski i zimne żelazka do prasowania. Jak przez mgłę przypominał sobie nawet rozlaną twarz Łojczyka, przykładającego mu porcję malinowych lodów do spuchniętego oka, ale krytycznego momentu w którym zgubił szczękę, w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

— Może wypadła — myślał Falda — kiedy mnie wzięli dorożką do domu?

To wydało mu się prawdopodobne, a że był człowiekiem czynu, nazajutrz wszystkie słupy Przesmyku i okolicznych ulic oklejone zostały własnoręcznie przez niego wykonanymi ulotkami z apelem do uczciwych znalazców, aby niezwłocznie odnieśli zgubę za wynagrodzeniem.

Ulotki nie dały długo czekać na rezultat. Dobrzy ludzie zaczęli znosić różnego rodzaju szczęki. Były między nimi kauczukowe protezy, porcelanowe mostki, nowe i używane. Uczciwi znalazcy demonstrowali je przed Faldą, gryząc orzechy i rzucając je o podłogę. Falda przymierzał i nawet próbował jeść, ale nic z tego nie wychodziło. Wszystko nie to, co jego własna sztuczna szczęka. To zgryz nie ten, to sio, to owo. Wreszcie Faldę brzuch rozboleł z niegryzienia, więc wybrał jedną z oferowanych szczęk. Użębienie było żółte, prawie rude i nie zgadzało się z kolorytem własnych zębów. Zęby były nie pod Felka, duże końskie, a on miał zęby jak perelki. Spotkał go kolega i mówi:

— Aleś się zmienił, Felek!

— Ja, zmienił się? — pyta Felek — gdzie?

— W zębach, — odpowiada znajomy. — W zębach!...

Ale byłoby dobrze, żeby tylko w zębach. Falda chudł z dnia na dzień, codziennie w godzinach poobiednich bóle go jakieś żołądkowe trapiły, a w końcu torsje nim zaczęły niezgorzej rzucać.

— Złe — myśli Felek. — Pewnie przez tę rudą szczękę. Wszystko z niegryzienia...

Choroba nie ustawała, więc Felek od szefa Cąjga skierowanie wziął i zaczął chodzić do Ubezpieczalni. Jakoś w czwartym tygodniu jego wędrowek stanął szczęśliwie przed lekarzem internistą Ubezpieczalni.

Ten od razu orzekł:

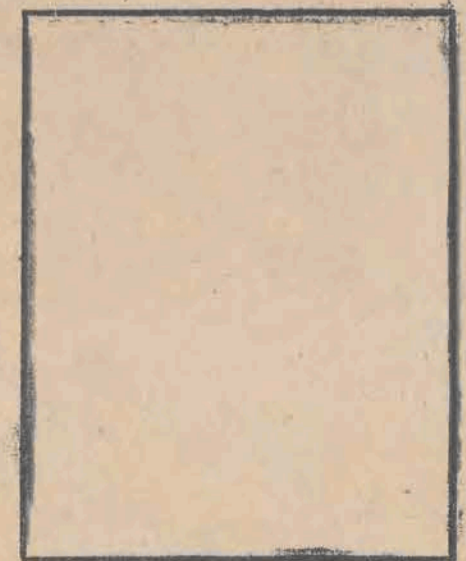
— Wrzód na tyżustce, albo w grubej kiszce. Trzeba prześwietlić!

Znowu skierowanie, znowu chodzenie.

— Ile trzeba mieć zdrowia, żeby móc chorować — pomyślał Felek.

Ale w czwartym tygodniu chodzenia prześwietlili Faldę urzędowe promienie roentgena Ubezpieczalni. Po wniesieniu przewidzianych opłat i po załatwieniu niezbędnych formalności, a trwało to zaledwie tydzień, Falda stał w gabinecie roentgenologa, trzymając kliszę pod światło. Przyglądał jej się z zaciekawieniem przez chwilę, po czym przysiadł ze zdziwieniem.

W tym miejscu prosimy Czytelników, których zainteresował los i zdrowie Feliksa Faldy, o spojrzenie pod światło, na zamieszczoną niżej kliszę, a znajdującą przyczynę złego stanu zdrowia naszego bohatera.



BOGDAN BRZEZIŃSKI

Dzieje dowcipu

Na parę lat przed wojną pisywałem do pewnego pisma humorystycznego. Wtedy, uważacie, bardzo były modne dowcipy o wariatach. Teraz też są modne dowcipy o wariatach, ale teraz są to dowcipy raczej polityczne, ze złotej serii „Oplekunowie Niemców”...

Otóż długo łamałem głowę, aż wreszcie wymyśliłem z niej taki dowcip. Rzecz dzieje się w lipcu w domu wariatów. Wariat przybiega do dozorki i woła:

— Panie dozorko, niech pan mi da szybko łyżwy, bo chcę się poślizgać!

— Co, w lipcu chce się pan ślizgać?

— A kiedy wariat ma się ślizgać, jak nie w lipcu? — odpowiada pomyłony ze zgorzeleniem.

Dowcip, jak dowcip. Nawet nie najgorszy. Redaktor trochę się krzywił, że wołał by dowcip aktualny, ale zamieścił. Honorarium otrzymałem. Jakże? Dokładnie nie pamiętam. Ale zdaje się, że w przeliczeniu na dzisiejszą walutę, dawano to ewartkę wódki, trzy kanapki i dwa duże piwa.

W tydzień później przeczytałem w innym piśmie humorystycznym taki dowcip: Tytuł — „Ma słuszność!” Rzecz dzieje się w domu wariatów w sierpniu. Przychodzi wariat do dozorki i prosi:

— Niech pan da mi szybko łyżwy, bo idę się ślizgać!

— W sierpniu?!

— A kiedy ma się wariat ślizgać, jak nie w sierpniu, he?

Dowcip wydał mi się znajomy, chociaż rzecz działa się nie w lipcu, lecz w sierpniu, a poza tym ten drugi wariat dodał jeszcze to ironiczne „he”...

Nazajutrz ukazał się w jednym z dziesiętników w kąciku humoru doskonały kawał: „Jego racja”. W czerwcu przybiega wariat do dozorki w domu dla pomyłonych i prosi o łyżwy, bo powiada, że chce się ślizgać.

W czerwcu chce się pan ślizgać? — dziwi się dozorka.

— A kiedy wariat ma się ślizgać, skoro nie w czerwcu? — woła z oburzeniem pacjent.

I ten dowcip wydał mi się nie obcy. Wprawdzie rzecz działa się w czerwcu i ten wariat-łyżwiarz uniósł się gniewem... Byłem w rozterce: Mój dowcip, czy nie mój? Potem dwa tygodniki w dziale humoru umieściły ten dowcip, ale już pięknie zilustrowany. Na jednej karykaturze wariat był grubym apoplektycznym typem, a dozorka chudziutką, a na drugiej odwrotnie — wariat był chudy, jak szczapa, a dozorka wielki i tegi.

Rys. do humoreski p. t.: „Sztuczna Szczeka” (Str. 7)



Pisma kobiece też miały „kąciki humoru”. W jednym z tygodników dla kobiet przeczytałem: „Bez piątej kleпки”. Rzecz dzieje się w zakładzie dla obłąkanych kobiet. Jest piękny dzień kwietniowy. Jedna z pacjentek przybiega do dozorki. — Niech pani szybko da mi łyżwy! — powiada.

Dalej nie czytałem. Przeczuwałem, jak dalej pólczy się dialog...

W jakimś czasie później przeczytałem w jednym z pism literackich:

„Anegdoty z życia Bernarda Shaw’a. Słynny kpiarz angielski Irlandzkiego pochodzenia, wielki G. B. Shaw, zwiedzał raz zakład dla umysłowo chorych. Był piękny dzień lipcowy. Nagle do Shawa podbiegł jakiś zdenerwowany jegomość i zawołał:

— Panie, prędko, prędko, daj mi pan łyżwy, gdyż chcę się ślizgać!

— W lipcu chce się pan ślizgać? — odparł łagodnie wielki pisarz, gładząc swą wspaniałą brodę.

— A kiedy ma się wariat ślizgać, jeśli nie w lipcu? — odparł ze zdziwieniem zdenerwowany jegomość, którym okazał się jeden z pacjentów zakładu. G. B. S. często opowiada tę zabawną historyjkę swym przyjaciółom.

Teraz byłem naprawdę wstrząśnięty. Czy ja wymyśliłem ten dowcip, czy też genialny kpiarz Irlandzkiego pochodzenia? A może izeczywiście ta rzekomo pomyślona historia wydarzyła się gdzieś w Anglii?...

Mój dowcip wędrował po szpaltach całej prasy polskiej, a nawet ukazał się w jednym z pism wiedeńskich. Wariat prosił o łyżwy w różnych miesiącach, w granicach od kwietnia do września włącznie. Ale najczęściej jednak w lipcu napadała go chętka do uprawiania sportu łyżwiarskiego...

Upiął rok. O moim wariacie było już cicho. Pewnego dnia poszedłem do redakcji pisma humorystycznego, w którym przed rokiem zamieściłem ów dowcip. Było bardzo wcześnie. Redaktor akurat przyszedł, położył teczkę na biurku i zerwał kartkę z kalendarza. Odwrócił ją, chwilę czytał i nagle wybuchnął śmiechem.

— Kapitalne, znakomite! — wołał.

Po czym podał mi kartkę ze słowami:

— Proszę, niech pan przeczyta! — Zwykły kalendarz ściełany ma takie świąteczne dowcipy, a pan nie potrafi zdobyć się na wymyślenie jakiegokolwiek naprawdę dobrego kawału! Wstydl!

Wziąłem kartkę i zacząłem czytać:

— Co będzie jutro na obiad? Zupa kalafiorowa, pieczeń wołowa na drzko z ziemniakami i buraczkami, kompot z jabłek. Uśmiechnij się! Rzecz dzieje się w sierpniu w domu wariatów. Jeden facet bez piątej kleпки przychodzi do dozorki i powiada:

— Niech pan szybko da mi łyżwy, chcę się trochę poślizgać!...

Dalej już nie mogłem przeczytać: oczy nabiegły mi krwią.

— Ha! — ryknąłem — Przecież to jest mój wariat!!

— Co takiego? — spytał ze zdumieniem redaktor.

— Mój rodzony wariat!!! Tylko dlaczego ten idiota poszedł po łyżwy w sierpniu? Ja mu kazałem iść w lipcu! Redaktor zaniepokoił się.

— Czy pan ma gorączkę? — spytał łagodnie.

Oddajcie mi mojego lipcowego wariata! — krzyczałem.

Potem zemdlałem. Gdy przyszedłem do siebie, okazało się, że nie jestem u siebie. Troskliwy redaktor kazał mnie przewieźć do domu dla pomyłonych.

Byłem już całkiem spokojny. Ale gdy zorientowałem się w sytuacji, zawołałem zaraz dozorkę.

— Niech mi pan da szybko łyżwy — powiedziałem — chcę się trochę poślizgać!...

Dozorka obojętnie skinął głową. Po chwili przyniósł mi łyżwy i buty do łyżew... Najpierw byłem okropnie rozczarowany. Ale potem zorientowałem się, że to niestety nie był lipiec — lecz styczeń!...

Jeszcze tego samego dnia znalazłem się na wolności. Ale od tego czasu nie daję się okradać ze swoich dowcipów. Sam każdy wymyślony przez siebie dowcip zamieszczam od razu w dwudziestu pismach. Tak jest o wiele uczciwiej!



Rys. Zenon Wasilewski

— Pani Antoniaku, a co pani ma w tym pudełku?

— To — to ja sprzedaję jako herbatę, mój staro to kurzy, a ja robię z tego płyn na mole



Rys. Zenon Wasilewski

— Ten pani pięcioletni wnuczek to taki mądry, jak jaki minister...!

— Jak jaki minister, panie Ochęduszko, jak jaki minister?

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Różgi” ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 26.

Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski.

Przyjmuje się: zamówienia od 13-ej do 14-ej.

Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy”, Zwiki 22, tel. 600-62.

D 0000